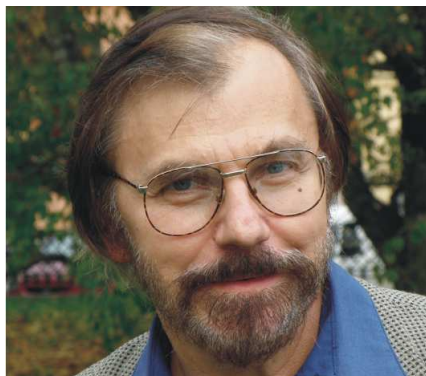


Listy do Pani A. (74)



Nostalgie i radości

Droga Pani!

Lubię powtarzalność. Nie nudzę się w miejscach od dawna znanych, choć nie mam nic przeciwko poznawaniu czegoś nowego. Wszystko jest kwestią wyobraźni. Potrafię zawsze znaleźć coś ciekawego, czego nie zauważyłem wcześniej. Nic nadzwyczajnego: bardziej rozróżnione drzewa, kształt gałęzi, wysokość traw, odcienie zieleni, i zawsze inne obłoki, które układają się w twarze, zwierzęta, smoki, albo zupełne abstrakcje, ale jakże fascynujące i działające na wyobraźnię.

Nie broniłem się zatem, aby pojechać na Mazury, tam gdzie zwykle jeździłem. Zmęczony, siedziałem na tarasie domku i patrzyłem, patrzyłem... Czuję, jak spływa ze mnie zmęczenie niczym ładunki z piorunochronu.

Byłem tam z wnukami, Igą oraz Witkiem, a Joasia dotarła pociągiem za kilka dni. Wszyscy wraz z Iskrą pojechaliśmy po nią samochodem do Giżycka. Była bardzo dumna, że odbyła pierwszą samodzielną podróż koleją.

Jeszcze tydzień spokoju i wróciliśmy do Warszawy, a już następnego dnia jechałem do Staszowa na plener literacki. Zaprosił mnie tam Staszek Nyczej. Podróż miałem dobrą, ale zgubiłem się w samym Staszowie. Dopiero zlitował się nade mną Włodek Kłaczynski, świetny pisarz, i wyjechał samochodem, żeby mnie pilotować. Padał deszcz, szyby zachodziły mgłą. Ale potem jechałem za Włódkiem i już byłem cały odprężony. Okazało się, że czekałem na niego bardzo blisko naszego miejsca zakwaterowania.

Oprócz rozmów literackich mieliśmy sporo wolnego czasu, a także wycieczkę do Wysocków Małych na regionalne Święto Pieroga. Nawiasem mówiąc, dziwna to nazwa – Wysoki Mały – w liczbie mnogiej. Było przyjęcie co się zowie. Myślałem, że piękne. Na szczęście tak się nie stało, bo jakże tak przy paniach... A zwłaszcza przy Pani. Zdawało mi się, że w tym święcie uczestniczymy oboje, tylko nie możemy się spotkać w tłumie...

Była też wycieczka do Opatowa. Ładne miasto, główną atrakcją jest kolegiata. Część naszej grupy poszła zwiedzać lochy pod miastem, a ja wolałem buszować po powierzchni.

Chciałem obejrzyć klasztor bernardynów, bo mam sentyment do franciszkanów w brązowych habitach, jeszcze z pilickich czasów, kiedy chodziło się do klasztoru reformatów – też franciszkańskiego zakonu.

Pytam kogoś, gdzie ten klasztor. Dowiedziałem się, że daleko. „Ale jak daleko?” – dopytywałem się. „A jakieś trzysta metrów stąd”... Ośluپiałem. Przecież dla mnie to żadna odległość. Oczywiście, poszedłem, zwiedziłem, wróciłem i byłem już z naszą grupą jeszcze przed czasem.

Lubię te prowincjonalne, stare miasteczka. Tak bardzo urokliwe i autentyczne zachowały się jeszcze na kielecczyźnie. Jest tam również miasteczko Oleśnica. Nazwa kojarzy się z Dolnym Śląskiem. To świętokrzyskie miasteczko jest związane między innymi z Żeremskim, który w latach 1888-1889 był korepetytorem u Gustawa Zaborowskiego. Ale jak to pisarz (choć wtedy jeszcze przyszły) zbyt ochoczo walczył swym męskim orężem, aż go wyrzucili z gubernerskiej kondycji. O tych wszystkich sprawach dowiadaliśmy się na sesji zorganizowanej przez Urząd Gminny. Wysłuchaliśmy świetnego wykładu wygłoszonego pięknym językiem przez Teresę Romańską-Faściszewską, autorkę książki „Oleśnica. Dzieje i ludzie”.

A w samym Staszowie mieliśmy spotkania autorskie. Co prawda we własnym gronie, ale było nas ponad dwadzieścia osób. A potem niekończące się rozmowy na tematy literackie. Wracałem do Warszawy pełen wrażeń.

Zresztą, choć czas wakacyjny, było i tu, trochę literackich imprez. Oto Zbyszek Irzyk wydał książkę „Bywało zabawnie”. To wspomnienia o „Współczesności” i ludziach związanych z tym literackim pokoleniem. Rzecz niezwykle ciekawa, zwłaszcza, że niektórych ludzi znałem osobiście: Himilsbacha, Grochowiaka, Kuncewicza, Józka Gielo, i wielu, wielu innych. W warszawskiej kawiarni „Grawitacja” Irzyk promował tę świetną książkę. A stało się to za przyczyną Jana Stanisława Kiczora, który rozpropagował ją w internecie. Ponieważ Zbyszek Irzyk jest bardzo znany w środowisku, wzbudziło to wielkie zainteresowanie. Dodam, że mało kto wiedział o tej książce, bo taką teraz mamy dystrybucję. Ale internet okazuje się potęgą. W „Grawitacji” promocję prowadziły dwie poetki – Majka Żywicka-Luckner oraz Bożena Kaczorowska. Przyszło sporo osób, książka rozeszła się w kilkunastu egzemplarzach, co na nasze warunki jest wielkim sukcesem. Zresztą po co Pani o tym piszę, skoro była Pani tam ze mną, przynajmniej w mojej wyobraźni.

Wkrótce zaprosił nas Zbyszek do swojego domu w Chotomowie. Pojechaliśmy tam z Leszkiem Żulińskim i Kiczorami.

Spotkanie przy świetnie przyrządzonych zakąskach i wódeczce trwało prawie sześć godzin. Wspomnieniom nie było końca. Przed oczami stanęły nam lata sześćdziesiąte, ożyli ludzie, których już nie ma, spotkania, imprezy, a nade wszystko nasza młodość. Wpadłem w nostalgiczny nastrój. Powiedziałem do Leszka, że dziś czujemy się tak, jakbyśmy dopiero zaczynali życie, a przecież tyle już jest za nami. Aż trudno to sobie uświadomić...

Przywołałem w myślach Panią, i zaraz ten smutny nastrój minął, jakby mi Pani szepnęła do ucha: „trzeba się cieszyć, tym co jest, i co jeszcze będzie”.

Cieszyłem się więc, że pojechałem z Joasią, jej koleżanką Olą oraz z Iskrą na Kaszuby. Jeździliśmy do Miastka, do Bytowa, a nawet do Ustki. Jadąc do Ustki wpadliśmy na chwilę do pobliskiego Orzechowa, a ponieważ pogoda była taka sobie, to zaproponowałem, aby dziewczyny poszły plażą, a my z Iskrą pojedziemy do centrum i spotkamy się na plaży. Tymczasem nie mogłem odnaleźć w Uście wyjścia nad morze, a zanim je odnalazłem, to dziewczyny już dawno doszły do głównego wyjścia. Wylazłem na piasek jakieś dwa kilometry za nimi. Musiałem brnąć z powrotem w kopnym piasku, bo Iskra tak boi się wody, że za żadne mięsa nie chciała iść samym brzegiem. Szarpałem się z nią niczym z koniem. Dziwny pies, ale to przecież suczka...

Nie oglądałem telewizji, nie czytałem prasy, ale słuchałem „Lata z radiem”. A więc i tu doganiały mnie jednak najrozmaitsze wieści. Jeden nygus ma sumienie, więc nie wykonuje zawodu, drugi w mitrze chce wyrzucić swojego podwładnego za słuszną zresztą krytykę, chociaż wydaje mi się, że on jednak w tej krytyce przesadza. Przesadzają zresztą obaj. Cóż, nie każdy ma klasę ks. Bonieckiego. Ale gdyby, arcybiskup i ksiądz, mieli więcej poczucia humoru, to nie byłoby problemu. Tylko nie należy mylić poczucia humoru z cynizmem, choć jedno i drugie jest bardzo bliskie. Nie chcę się wdawać w szczegóły, ale Pani dobrze wie, o czym piszę. A o politycznych i decydenckich kretynach nawet nie warto wspominać, zwłaszcza na wakacjach.

Rocznica powstania też mnie zastała na Kaszubach. Nastroiła mnie melancholijnie. Tak jak lektura książki Zbyszka Irzyka. Uświadomiłem sobie upływ czasu i jego niszczące działanie. Kiedy usłyszałem „Serce w plecaku”, jak żywy stanął mi przed oczami salonik państwa Jezierskich przy ulicy Kieleckiej. Ich syn Krzysztof, a mój przyjaciel, który podówczas jeszcze uczył się do liceum muzycznego, tę melodię grał na pianinie. Zawsze prosiłem go o to, bo ta piosenka mnie rozliryczniała i budziła tęsknotę za wielką miłością życia. Tak, tak, proszę Pani...

Oglądając mapy w atlasie samochodowym zauważyłem nazwy: Niedźwiedz, Sudragi, Wygielzów. I znowu refleksja natury niemalże eschatologicznej. Ile ja się o tych miejscach nasłuchałem, kiedy jeszcze nie były pustymi nazwami! Tamtych ludzi już nie ma; nie ma także tych, którzy o minionych czasach mi opowiadali, nawet – jak w Sudragach – nie ma już dworu Jarocińskich.

Jednak zawsze trzeba wrócić do rzeczywistości, jak to Pani pięknie powiedziała. Jestem w niej, cieszę się tym co nastąpi. A różne nastroje są zjawiskiem normalnym. Dzielę się nimi z Panią i mam nadzieję, że Jej nadmiernie nie zasmucam. Życzę zatem wiele słońca i uśmiechów –

Stefan Jurkowski